

Rok 1881

Podmuch wiatru strącił kołyszące się na gałęzi starego kasztanowca jesienne liście. Brązowo-żółte, z cienkimi żyłkami znaczącymi kres ich życia, w szaleńczym tańcu wirowały w powietrzu, zanim upadły na ziemię, wprost pod nogi spieszącej do domu Alicji Zdanieckiej. Dwudziestotrzyletnia panna biegła aż od Placu Muranowskiego przez całą ulicę Nalewki, byle jak najszybciej przedostać się na Wałową, gdzie w oficynie starej kamienicy mieszkała razem z narzekającą na zdrowie babcią.

Babka Róża rzadko na cokolwiek się skarżyła. Od śmierci córki i jej męża opiekowała się dwójką wnucząt i nie szczędziła wysiłków, aby obojgu zapewnić godziwe warunki. Wzięła na siebie niełatwe zadanie. O ile Alicja nie sprawiała kłopotów, o tyle starszy o rok Olgierd nadrabiał za dwoje. Wdawał się w bójki z rówieśnikami, dopuszczał się drobnych kradzieży, często nie nocował w domu, obracał się w szemranym towarzystwie i był jednym z tych, którego lepiej nie spotykać w ciemnym zaułku. Ileż razy pani Barwińska wstydziła się za chłopaka przed sąsiadami! Awanturnik nie szanował nikogo poza kolegami, nie kalał się pracą, jednocześnie zaś żądał od opiekunki jedzenia oraz pieniędzy, które mitrężył później na alkohol czy papierosy. Nie obchodziło go, w jaki sposób staruszka je zdobędzie. Już jako szesnastoletni młokos potrafił grozić nieboraczce pięścią, jeśli nie dostawał, czego chciał.

Alicja kochała brata, ale miłość kryła się pod warstwą ustawicznego strachu. Bez szemrania spełniała polecenia Olgierda. Prosiła też babcię, by nie wdawała się z chłopakiem w dyskusję, żeby się bardziej nie rozsierdził. Kiedyś przecież wybił okno i odłamkiem szkła zaatakował babkę tłumaczącą, że ostatnie monety wydała na jedzenie. Kobięcina do dziś nosiła na dłoni bliznę po ataku wściekłości furiata.

Róża coraz bardziej żałowała, że przygarnęła dzieci pod swój dach. Wprawdzie Alicja stanowiła niemałą wyrękę, lecz dla rodzeństwa byłoby lepiej,

gdyby trafiło do rodziny ojca, gospodarującej gdzieś w podwarszawskiej wsi. Tam Olgierd nie znalazłby czasu na swawole. Zaprzęgnięty do ciężkiej pracy przez wuja, wyszedłby na ludzi, Alicja natomiast pewnie znalazłaby męża i bawiła własne dzieciątka.

Sytuacja na dobre zmieniła się, gdy chłopak poznał Basię Krawulską, córkę właściciela sklepu bławatnego. Zaprzyjaźniły się z Alicją, bowiem ta czasem pomagała panu Krawulskiemu za ladą. Wypłatę zawsze oddawała babci i nie wspominała Olgierdowi o dodatkowych przychodach, bo zaraz by je sobie przywłaszczył. Któregoś dnia Alicja zapomniała odebrać pieniądze, więc pensję przyniosła jej Basia, po czym zaprosiła Alicję na krótki spacer.

Wychodząc, dziewczęta natknęły się na Olgierda. Wracał właśnie z jakiejś rozróby. W porwanej koszuli, z podbitym okiem i krwią sączącą z nosa, prezentował się koszmarnie. Rabunek się nie powiódł, grupa dostała solidny łomot od pilnujących dobytku synów stolarza. Zdaniecki kipiał gniewem i byłby wyładował się na bliskich, ale na widok Basi oniemiał.

Ta zmierzyła go od stóp do głów. Dotąd nie dowierzała opowieściom Alicji o jej zdeprawowanym bracie, zastanawiając się, czy w jednym człowieku może mieścić się tyle zła. Spotkanie ze Zdanieckim pozbawiło ją wątpliwości. Dumnie uniosła głowę, wyminęła zaskoczonego młodziana i wyszła z klatki na zalane słońcem podwórze.

Olgierd trwał w miejscu jak porażony. Zachwycony urodą i zadziornym charakterem Basi poprzysiągł na wszystkie świętości, że nie spocznie, dopóki ta nie zostanie jego żoną. Wystawał pod sklepem, przynosił prezenty, grzecznie zagadywał, ale drobna blondynka o zadartym nosie uparcie lekceważyła jego umizgi. Strapiony Olgierd głowił się nad przyczynami odrzucenia. Przygodne dziewczki mu nie odmawiały, spełniały zachcianki, błagały o więcej. Basia zachowywała się, jakby nie istniał. Nie rozumiał, co czyni źle. Przez dłuższy czas znosił z godnością kolejne odrzucenia, lecz wkrótce stracił cierpliwość. Zdybał sklepikarżównę samą, przyparł do muru i zapowiedział, że dłużej nie pozwoli się

upokarzać. Albo wezmą ślub albo... Nie dokończył, dostrzegłszy lęk w oczach Basi. Odpuścił.

Ludzie z Nalewek bali się członków gangu. Olgierd doskonale zdawał sobie sprawę z własnej reputacji i szczyił się nią niczym największym wyróżnieniem. Przerazenie mylił z szacunkiem, uśmiechał się więc pod nosem, gdy przechodnie wbijali wzrok w ziemię, aby uniknąć konfrontacji.

Dopiero po reakcji Krawulskiej szczerze się zafrasował. Zdał sobie sprawę, że Basia nie odwzajemni uczucia, jeśli on nie zerwie z przestępczym procederem i nie naprawi wyrządzonych krzywd.

Wiele wody w Wiśle upłynęło, zanim na skrzyżowaniu życiowych dróg wkroczył na właściwą ścieżkę. Początkowo kompani mścili się za to, że opuścił ich szeregi, ale wreszcie odpuścili, zarzekając się, że nie zapomną o zdradzie. Olgierd przeprosił babcię i siostrę za niegodne zachowanie. Całował Różę po rękach, błagając o wybaczenie. Staruszka zalała się łzami. Zapomniała o urazach, bo pragnęła szczęścia wnucząt. W duchu dziękowała opatrności za Basienkę, która wyrwała chłopaka ze szponów zła.

Starania o jej rękę trwały długie miesiące. Pannie nie wystarczyły słowa, żądała czynów. Zdaniecki znalazł zatem uczciwą pracę i chociaż w duchu zżymał się na ciężką, fizyczną robotę, wstawał codziennie przed wschodem słońca i skwapliwie wypełniał polecenia przełożonego.

Basia zakochiwała się w nim stopniowo, z dnia na dzień. Patrzyła na poświęcenie młodego mężczyzny, doceniała, że zmieniał się dla niej. W dwudzieste urodziny Zdanieckiego oddała mu pierwszy pocałunek, pół roku później złożyła przed Bogiem przysięgę małżeńską. Młodzi zamieszkali nad sklepem, szczęśliwi i spełnieni. W dwanaście miesięcy po zaślubinach na świat przyszedł Lucjan, dopełniając rodzinnej idylli. Babcia wprost ubóstwiała prawnuka, Alicja często odwiedzała bratanka oraz przyjaciółkę, ciesząc się radością malującą na jej twarzy.

Niestety przeszłość upominała się o Olgierda. W ostatnim czasie dwukrotnie uniknął odsiadki. Oskarżony przed rokiem za kolportaż ulotek wzywających do nieposłuszeństwa względem władzy nie trafił na salę sądową, bowiem po kilku dniach od jego aresztowania policja na gorącym uczynku przyłapała grupę drukującą hasła sprzeciwu wobec poczynań cara. Komendant doszedł do wniosku, że Zdaniecki nie współpracował z przestępcami i zwrócił mu wolność.

Przed trzema miesiącami Olgierda poddano ostremu przesłuchaniu, podejrzewając o próbę ataku na miejskiego urzędnika. Młodzian nie zawisnął na stryczku, gdyż rzeczony biuralista podczas pobytu Zdanieckiego w celi wpadł pod dorożkę, czym przeniósł zainteresowanie mundurowych na niewinnego woźnicę.

Po powrocie Olgierda do domu, rodzina odetchnęła z ulgą. Alicja liczyła, że to koniec nieszczęść dotyczących brata. Często odwiedzała Basię i podejrzliwie popatrywała na niego, próbując wysondować, czy znów nie wpadł w tarapaty.

Skupiona na jego wyczynach, nie zwróciła uwagi na pogarszającą się kondycję babci. Róża szybciej się męczyła, spała dłużej niż zwykle, w ciągu dnia drzemała, co wcześniej zdarzało się niezwykle rzadko. W dodatku wciąż kaszłała, z jej gardła dobywało się nieprzyjemne rżenie. Strwożona Alicja zamierzała pójść po lekarza, lecz staruszka zabroniła.

– Jeszcze coś znajdzie i nieszczęście gotowe – sarknęła. – Pójdziesz do Augustynowej, tej, co mieszka na Placu Muranowskim, i weźmiesz od niej zioła. Ona najlepiej doradzi jakie i kiedy stosować.

– Babciu... – powiedziała Alicja. – Doktor Karolkiewicz niejednego wyleczył. I pieniędzy dużo nie bierze.

– Nie dyskutuj! Wiem, co mi pomoże. Zawsze piłam ziołowe herbaty i nigdy się nie zawiodłam. Idź, bo jeszcze kto wykupi, a jak zabraknie...

Alicja nie wierzyła w medyczne zdolności Augustynowej. Niektórzy nazywali ją szarlatanką, inni wprost czarownicą. Jednak wielu ufało prostej

kobiecinie. Wiosną oraz latem często znikwała w Puszczy Kampinoskiej, gdzie zbierała dary lasu, z których przyrządzała specyfiki na sprzedaż. O ile sprawdzały się podczas przeziębień, o tyle w skomplikowanych sytuacjach – a za taką Alicja uznała przypadek babci – właściwszym rozwiązaniem było posłanie po doktora. Róża nie dawała się jednak przekonać. Alicji nie pozostało zatem nic innego, jak odwiedzić zielarkę.

Po krótkiej wizycie, w czasie której Augustynowa ledwie się nią zajęła, bowiem zainteresowała się znamienitszym klientem, dziewczyna wracała na Wałową z torebką wypełnioną lipą, czarnym bzem oraz tymiankiem. Zioła miały działać napotnie i wykrztuśnie. Wcisnęła Alicji również rumianek, szałwię i babkę lancetowatą na ból gardła. Na koniec nakazała sporządzać napar z jeżówki, by Róża uodporniła się na infekcje.

Alicja sceptycznie podchodziła do kuracji. Nie dalej jak przed dwoma dniami zauważyła, że babcia odkasłuje krwią, a rankiem nie ma siły wstać z łóżka. Starsza pani oczywiście zbagatelizowała dolegliwości, machnęła niedbale ręką i zabrała się do przygotowania obiadu, choć wnuczka widziała, że babcia jest słaba.

Alicja wbiegła do skromnego mieszkania. Otrząsnęła się z zimna, zdjęła buty, żeby nie nanieść brudu do kuchni i ze zdumieniem odkryła, że w domu jest Basia. Lucuś właśnie bawił się na podłodze drewnianą kolejką, prezentem z okazji niedawnych urodzin. Zajęty prowadzeniem pociągu nie zważał na łzy matki ani ponurą minę prababki.

– Basieńko! Co się dzieje? Dlaczego płaczesz? – Alicja przypadła do przyjaciółki, pochyliła się i mocno ją przytuliła.

– Ot, znowu huncwot wpadł w tarapaty – odparła Róża.

Basia nie była w stanie wykrztusić słowa. Drżała z twarzą schowaną w dłoniach, łkając spazmatycznie.

– Co ty mówisz, babciu? Chodzi o Olgierda?

– A o kogo innego? – Staruszka pokiwała głową. – Dzieciak nadal ma diabła pod skórą i proszę, są efekty. Ma, na co zasłużył.

– Niech babcia tak nie mówi. – Basia wzięła męża w obronę. – Olgierd jest dobrym człowiekiem, najlepszym.

– Dobrzy ludzie nie trafiają do cyrkułu.

– Ale patrioci tak – oświadczyła stanowczo. – Przestrzegałam, żeby nie pchał się w politykę. Nie słuchał. Mówił, że do obowiązków prawdziwego Polaka należy walka z zaborcą. Związał się z potomkami powstańców styczniowych. Ich ojcowie zginęli tragicznie w sześćdziesiątym trzecim albo dogorywają na dalekiej Syberii. Za punkt honoru przyjęli kontynuowanie dzieła aż do ostatecznego zwycięstwa.

– Zwariowali – stwierdziła babcia. – Nie mają szans w starciu z Moskalami, głupie chłopaki.

– Powtarzali, że Rosjanie nie są równie silni, co przed dwudziestoma laty. Nie dopuszczali myśli o porażce...

– Za co aresztowali Olgierda? – spytała Alicja głosem pełnym niepokoju.

– Wpadli do domu niczym huragan. Wyrzucali wszystko z szaf, tłukli naczynia, pocięli materace, zniszczyli podłogę – relacjonowała Basia, wracając myślami do tragicznych chwil. – Trzymałam Lucka na rękach, krzyczał, biedaczek, kazali mi go uciszyć... Nie potrafiłam... Sama z trudem powstrzymywałam emocje. Jeden z żandarmów podszedł do mnie, siłą wyrwał dziecko i rzucił o ścianę...

Alicja wstrzymała oddech. Nie mieściło jej się w głowie podobne traktowanie niewinnego chłopca.

– Olgierd uderzył go w nos. Chyba złamał, bo poląła się krew... Któryś z żandarmów uznał to za atak. – Oczy Basi zaszyły mgłą.

Późniejsze wypadki potoczyły się w zastraszającym tempie. Huk wystrzału z karabinu wypłoszył siedzące na drzewie stado ptaków. Czarna chmara z głośnym jazgotem poderwała się w niebo, chwilę krążyła pod zwalistymi chmurami zwiastującymi deszcz, wreszcie osiadła na dachu kamienicy, z której siłą wyprowadzono młodego mężczyznę w koszuli pokrytej szkarłatem krwi.

Brutalność carskich żandarmów zdawała się niewspółmierna do sytuacji. Pojmany nie stawiał oporu, przeciwnie, słał się na nogach i wodził wokół półprzytomnym wzrokiem. Ranny w rękę tracił siły i tuż przed wsadzeniem do więziennej kibitki opadł na kolana.

– Wstawaj, łachudro! – warknął któryś z Moskali. Chwycił więźnia za okaleczone ramię i mocno potrząsnął, zmuszając do samodzielnego wejścia do powozu.

Olgierd Zdaniecki zawył z bólu. Przed oczami tańczyły mu czarne i białe plamy, w głowie dudniło, jakby raz za razem uderzano go młotkiem, z każdym trafieniem coraz mocniej. Z trudem wspiął się na schody, po czym opadł na drewnianą pakę, nienaturalnie wykrzywając kończynę. Oddychał szybko, serce waliło mu w nieznanym dotąd rytmie. Chłód podłogi nieco łagodził cierpienie, lecz świadomość czekającej w cyrkule przeprawy odbierała chęci do życia.

Basia wypadła na ulicę z uwieszonym przy szyi malcem. Płakała rozdierająco, błagając żandarmów o zmiłowanie.

– Proszę, nie zabierajcie go!

Naznaczona zgryzotą twarz nie wzbudziła litości Rosjan. Przez lata służby na polskich ziemiach nauczyli się, że miejscowym nie można ufać, choćby na pierwszy rzut oka nie stanowili zagrożenia. Odganiaли się więc od kobiety niczym od natrętnej muchy, ale im bardziej ją ignorowali, tym Barbara natarczywiej próbowała zwrócić na siebie uwagę.

– Olgierd jest niewinny, nie możecie...

Cios w splot słoneczny odebrał jej dech. Gniew strażników wywołał płacz trzyletniego Lucka, który wczepił rączki we włosy matki i nieświadomie mocno pociągnął. Barbara się zachwiała. Poczowała mdłości, lecz zdawała sobie sprawę, że nie może pozwolić sobie na słabość. Gdy kibitka odjedzie, jej rodzina się rozpadnie. Tym razem Olgierd nie wybroni się przed skazaniem. Wyciągała szyję, chcąc z daleka dojrzeć męża.

Czekający na rozkaz wyjazdu Moskale skutecznie zasłaniali widok. Nie zważali na protesty, nie słuchali tłumaczeń, było im wszystko jedno, co stanie się z więźniem. Jemu podobnych zwykle wysyłano na syberyjską katorgę, by innych przestrzec przed zbrodniczą działalnością. Niestety Polacy nie uczyli się na błędach. Jak owce idące na rzeź pchali się przed oblicze sprawiedliwości i co niektórym nie brakowało animuszu do kwestionowania legalności rosyjskiej władzy. Po niemal dziewięćdziesięciu latach od przyłączenia do imperium nadal nie przyzwyczaili się, że ich panem jest car. Ścierwa pokroju Zdanieckiego liczyły na kolejny przewrót, podobny do listopadowego sprzed pięciu dekad czy styczniowej rewolty. Konsekwencje ostatniego zbrojnego wystąpienia ponosili po dziś dzień, mimo to nie brakowało głupców z nadzieją wypatrujących wolności.

Zaciekawieni sensacją sąsiedzi wyszli przed budynek. Szeptali między sobą, że chłopak w końcu się dograł. Od takiego z daleka wyczuwało się kłopoty. A w ciężkich czasach, kiedy nie ufało się nawet własnemu cieniowi, głośne opowiadanie się za niepodległą ojczyznę prędzej czy później kończyło się karcerem. Olgierd bywał nieostrożny, gadał, co mu ślina na język przyniosła, dlatego nikt się nie dziwił dzisiejszym wypadkom. Tylko Basi żal. Skromna, uczciwa dziewczyna nie zasługiwała na okrutny los.

Najbliższa znajoma młodych małżonków, Anna Kłotarska podeszła do Basi. Opiekuńczym gestem przygarnęła ją do siebie, byle odsunąć od Moskali. Ukochanemu przecież nie pomoże, a jeszcze narazi się na nieprzyjemności, bo już jeden bacznie przypatrywał się zawodzącej mizerocie.

Basia wzdrygnęła się pod wpływem dotyku. Przeszył ją dreszcz nie z powodu zimna, choć wyszła z domu jedynie w cienkiej koszulce, a przerażenia. Widząc znajome oblicze, oddała syna Annie i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, rzuciła się w kierunku kubitki. Żandarmi, nie spodziewając się równie bezmyślnego zachowania, jak zamurowani obserwowali przedstawienie. Dzięki ich bierności Basia wspięła się do powozu i byłaby dopadła Olgierda, gdyby dowódca strażników nie uderzył jej pałką w plecy. Wyciągnięta w kierunku

męża ręka zastygła w bezruchu. Basi pociemniało przed oczami. Na tyle jednak pozostawała świadoma, że mimo bólu starała się pokonać dzielący ją od niego dystans.

Wściekły oficer złapał ją za kark i bezpardonowo odepchnął. Upadła na ziemię, raniąc wewnętrzną stronę dłoni. Moskał kopnął ją, po czym odchrząknął i splunął prostacko.

– Chcesz dołączyć do kochasia, zdziro? – warknął. – Zajmij się bachorem i nie urządź scen.

Anna stanęła przed rozsierdzonym mundurowym, odgradzając go od ofiary.

– Przepraszamy, panie władzo – powiedziała służalczym tonem. – To się nie powtórzy.

– Oby. Miejsca w więzieniu dla awanturników nie zabraknie – odparł Rosjanin, po czym powiódł nienawistnym wzrokiem po zgromadzeniu. Ludzie ze strachu zbili się w ciasną gromadę. – Co się gapicie? Macie wyjątkową okazję, by sprawdzić, jak wygląda cela od środka. Ktoś zgłasza się na ochotnika? – zapytał kpiąco, wskazując otwarte drzwiczki kubitki. – Nie? Banda tchórzy! Wracajcie do domów! – Skinął na podwładnych.

Jeden wskoczył do powozu, drugi zajął miejsce obok woźnicy, reszta dosiadła koni. Oddział odjechał w rytm stukotu kopyt o bruk oraz nieustającego łkania Basi.

– Przewieźli go do Cytadeli. – Basia skończyła opowieść i popatrzyła na Różę i Alicję. – Zważywszy na poprzednie oskarżenia oraz niechlubne wyczyny z młodzieńczych czasów, Olgierda czeka srogi wyrok – oznajmiła po chwili milczenia.

Alicja zacisnęła pięści. Jej brat nie zasługiwał na długoletnią odsiadkę. Poprawił się, zerwał ze złymi nawykami i ludźmi, którzy sprowadzili go na manowce. Założył rodzinę, był dobrym mężem, wspianiałym ojcem. Uczciwie

pracował, nie wchodził z nikim w konflikt... Parę błędów nie powinno przekreślać jego starań.

– Co teraz? – spytała z westchnieniem.

Usiadła obok Basi i czule pogłaskała Lucka po płowej główce. Nie wiedziała, w jaki sposób pomóc kobiecie. W starciu z opresyjnym zaborczym reżimem, uwolnienie więźnia oskarżanego o działanie przeciwko imperium zakrawało na cud.

Basia podniosła załzawione oczy na Alicję.

– Jest jedno rozwiązanie – rzekła z nadzieją. – Ale nie śmiem cię prosić...

– Mów. – Alicja się zachnęła. – Chodzi o mojego brata, zrobię dla niego wszystko.

Przysłuchująca się rozmowie babcia zmarszczyła brwi, jakby przeczuwała, że propozycja Basi jej się nie spodoba.

– Weź winę na siebie. Tobie zasądzą niewielką karę, Olgierda, nie daj Boże, powiodą na stryczek.

W kuchni zapanowała grobowa cisza. Alicja zbladła. Róża z wyczekiwaniem wpatrywała się we wnuczkę. Basia oderwała synka od zabawy, posadziła sobie na kolanach i pocałowała w policzek.

– Zlituj się, moja droga, jeśli nie nade mną czy Olgierdem, to nad nim. Luckek nie może wychowywać się bez ojca. Nie udźwignę takiego ciężaru. – Urwała, a nieśmiały uśmiech rozjaśnił jej oblicze. – Nikt jeszcze nie wie... spodziewam się dziecka – powiedziała i pozwoliła, żeby słowa wybrzmiały w pomieszczeniu. – Nie wybaczyłabym sobie, gdyby to dziecko nigdy nie poznało taty...